

ECHO WITOWA



Jednodniówka „Naszej Gazetki” pisemka uczniów Państwowego Gimnazjum Polskiego w Bielsku

Dwanaście dni w Witowie.

— Witów? ... Licho wie, co to za dziura! ... —
 Zresztą my sami, wyjątki nieliczne, do dnia 2 stycznia nie mieliśmy o nim zielonego pojęcia ...
 — Podobno gdzieś tam koło Zakopanego leży nad Czarnym Dunajcem, w dolinie, długi na kilka kilometrów ... —

Tyle dowiedzieliśmy się z mapy! ... Z wielką też niepewnością druzgotani niemiłosiernie przez każdego konduktora i lada sportowca wieściami, że w Zakopanem zupełnie śniegu niema, wyjechaliśmy tegoż dnia rano z szarego, zabłoconego Bielska, gdzie śniegu dotychczas ani dla oka na lekarstwo nie było. A wieczorem ...? Wieczorem, zawijając się w płaszcze, aby ochronić się przed zimnym wiewem, sunęliśmy już wartko saniami z Podczerwonego przez Chocholów do Witowa, coraz bliżej Tat, które okryły się brudną mgłą, zasłaniającą je naszym oczom. Dopiero następnych dni mogliśmy napawać swój zwrok niezrównanym pięknem skalnych grzbietów, które plawiły się w słońcu i jaśniały seledynem, a o zachodzie jakgdyby wielkie ognisko płonęły krwawą czerwienią.

Szczerze sprzyjało nam od pierwszej do ostatniej chwili, nie biorąc oczywiście pod uwagę tych kilku pechowców, którzy swój cały przeogromny entuzjazm dla sportu narciarskiego wyladowali już w pierwszych dniach przez połamanie niewinnych nart, a potem całe prawie dwa tygodnie albo patrzyli jak inni jeżdżą albo brali czyjeś narty, aby je znowu (może przez zazdrość) połamać.

Witów, który powitał nas nieznośniami śnieżycami, stał się wkrótce dla nas, wbrew oczekiwaniu, najprzyjemniejszym miejscem pod słońcem. Zaiste wiedział doskonale nasz p. Dyrektor, organizator całej kolonji, gdzie nas zawieść! Czas, ograniczony regulaminem, upływał nadzwyczaj szybko i wesoło, mimo iż patalacha skarżyły się na nudę;

naogół jednak wszyscy czuli się doskonale z różnych rzesztą powodów, których było bardzo wiele. Codzienne wycieczki narciarskie w najbliższe okolice dostarczały każdemu może najwięcej pięknych i trwałych wrażeń. Niektórzy jednak chętniej wspominają do dziś dnia swoje tarapaty ze zbijaniem połamanych nart uroczym, jak się upierają, harcerkom z Krakowa, lub wreszcie swoje sukcesy w zdobywaniu ich „niewinnych“ serduszek. Tacy jeszcze dzisiaj śpiewają po kątach na góralską nutę coś w tym sensie:

„Hej, Witów, hej, Witów,
 Nieszczęsna dziedzina,
 Jobym go nie chwolił,
 Kieby nie dziewczyna! ...“

Inni znowu mającą jeszcze o swoich wędrownkach, po starych witowskich chatkach, o obrazkach na szkle, ale również nierzadko i o pięknych góralskach ... Czołowi narciarze natomiast najlepiej chyba pamiętają zwody narciarskie, jakie urządzone na zakończenie kursu; właściwie kurs zakończył się inaczej, ale o tem tylko głucha fama krąży:

„Hej ty bacia, bacia nas,
 Kiepskich synów na zbój mas,
 Ale byś ich lepszyk miał,
 Kiebyś becke wina doł! ...“

Zwycięzcy w zawodach zadawałają się narażać takim zakończeniem i czekają cierpliwie (biedacy!) na dyplomy, których nikt nie ma ochoty zrobić.

Pełni zadowolenia i radości wracaliśmy po dwunastu dniach, może niezbyt chętnie, do Bielska, gdzie czekała nas znowu codzienna, dla wielu niemiła, lecz konieczna praca. I gdy jedni odświeżali niedawne wspomnienia, drudzy snuli już śmiało plany na przyszłość. Wtedy także powstał projekt

jednodniówki, który oto doczekał się zrealizowania.

— Właściwie poco ta jednodniówka? ... —

— Czy kogo może ciekawić, że dwudziestu kilku uczniów było w jakimś tam Witowie? ... —

— Zwarjowali! —

— Cóż oni nasmarowali w tej jednodniówce? —

— Dla kogo? ... poco? ... —

Obawiając się, aby w ten sposób nie zostało przyjęte ukazanie się jednodniówki, musimy zwłaszcza odpowiedzieć na podobne pytania! ...

Jednodniówkę wydajemy z wiarą, że nie jest ona pozbawiona pewnej wartości, że nie jest ona niepotrzebną nikomu, jak uczniowie się wyrażają, „szmata“. Dlatego staraliśmy się zredagować ją w ten sposób, aby nie będąc terenem małoszkowych

wynurzeń uczestników kolonji, mimo to stała się dla nich miłą pamiątką, a dla reszty kolegów ciekawą i pożyteczną lekturą. Spodziewamy się, że praca nasza w tym kierunku zostanie należycie oceniona.

Wreszcie na koniec, jakkolwiek obawiamy się, aby jednodniówka nie robiła wrażenia suchego, urzędowego sprawozdania, musimy również podziękować tym, którym uczestnicy kolonji zawdzięczają tyle pięknych wrażeń i przyjemnie spędzonych dni, przede wszystkim zaś p. Dyrektorowi Małeckiemu, organizatorowi kolonji, następnie p. prof. Kwaśniewiczowi, swemu opiekunowi, jako też pani Kwaśniewiczowej, która poświęciła dla nas tyle trudu, oraz p. prof. Kloszkowi, który prowadził właśnie kurs narciarski.



Sztuka ludowa na Podhalu.

Jerzy Zitzman

Lud podhalański odcięty górami od wpływów obcej kultury długo żył własnym życiem, wytworzył sobie odrębny świat duchowy i długo zachowywał staropolską gwara, strój, oraz patryarchalne zwyczaje. Zmuszony wystarczać sam sobie, zaspakajał wszelkie swe potrzeby, wyrobami własnoręcznej pracy, wytwarzając powoli rodzinną kulturę i sztukę. Lud podhalański lubi się stroić, lubi posiadać w izbie sprzęty rzeźbione, ściany ubrane licznymi obrazkami, kocha się w muzyce i śpiewie.



Góral żyjący wśród pięknej przyrody, patrząc przez całe życie na cudowną harmonję barw i linii krajobrazu górskiego, ma w sobie bardzo rozwinięte poczucie piękna, które uzewnętrznia w swej sztuce.

To poczucie piękna powoduje, że prawie wszystkie sprzęty góralskie noszą wybitny wyraz upodobań artystycznych. Przewijają się one wszędzie. Każdy statek jak stół, krzesło, czerpak, ciupaga, kijanka, cucha czy serdak, skrzynia, łóżko są malowane, rzeźbione, czy wyszywane. Domorosły artysta, którego zwykle całym narzędziem bywał kozik, nie szukał zbyt daleko tematów do swych prac, lecz brał je z życia codziennego, z motywów, które go otaczały, z czym się codziennie spotykał, co kochał i co szanował. Stąd też w sztuce ludowej

tak wiele jest motywów roślinnych jak: leluje, szarotki, dziewięciorniki, osły, róże, gałązki koso-drzewiny i t. p.

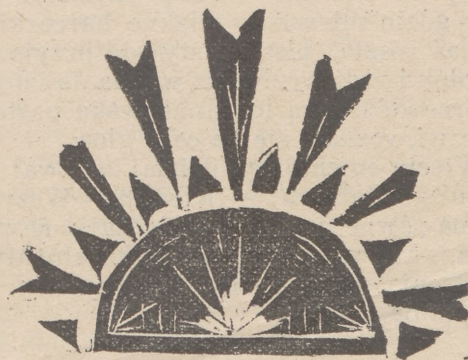


Motywy te powtarzają się niezliczoną ilość razy, na wszelkich sprzętach domowych, w niezliczonych odmianach i transpozycjach. Spotykamy je na łyżnikach, stołkach, skopcach, czerpakach, misach, dzbankach, kozuchach, sosrębach, słowem wszędzie. Rzadziej natomiast spotykamy ornament geometryczny. Najliczniejszym i najbardziej roz-

powszechnionym jego okazem jest „koło góralskie“. Jest to koło, którego środek wypełniony jest dowolną kombinacją geometryczną złożoną z trójkątów, rombów czy kwadratów. Koła te rozpowszechnione są najbardziej na wyrobach metalo-

muzealnym, gdyż ze względu na swój materiał (szkło) łatwo ulegały rozbiciu. Są to obrazy najczęściej religijne, malowane na szkłe, lub na odwrocie lustra farbami olejnymi.

Sposób i technika znane już w dawnych cza-



wych, jak na spinkach, klamrach, okuciach na uprząży i pasach także na sosrębach czyli na belkach u powały, na cyfrowaniach czyli parzenicach u spodni.

W budownictwie góralskiem przejawiają się także upodobania artystyczne. Sama chata zbudowana z grubych drzew, ma liczne ozdoby jak: pazdury, rzeźbiony szezyc i piękne drzwi. Sprzęty jak stół i krzesła oprócz ozdób ornamentacyjnych mają swój charakterystyczny styl. Jednym z ginących już działów sztuki podhalańskiej są obrazy malowane na szkłe. Są one dzisiaj już zabytkiem

sach na zachodzie, przeniesione zostały i rozpowszechnione u nas na Podhalu przez wędrownych malarzy przybyłych z Czech, Śląska lub Węgier.

Charakterystyczne są one na Podhalu swoim stylem i obok figur wyobrażających świętych mają one jako ozdobę ornament roślinny. Obrazy te w przeszłości spełniały ważną rolę w życiu religijnym górala. Odcięty od świata, mieszkający daleko od kościoła, miał w domu obrazy przed którymi się modlił a może nieraz zadumał nad rzeczami doczesnymi i wiecznymi. Nie stać było biednego górala aby w każdej wsi miał kościół, ale uczucia religijne i chwałę Boga wyjawiał w licznych kapliczkach przydrożnych i rzeźbionych świątkach, które chociaż prymitywne w technice i wyrazie jednak wiele mówią nam o jego duszy.

Sztuka podhalańska dzięki swej oryginalności i bogactwu motywów stała się źródłem dla sztuki polskiej i jest cennym klejnotem w kulturze Polski.

„Menażkowy koncert”.

D a m e k Władysław

Było to we czwartek. Po pięknej wycieczce na Miotłówkę urozmaiconej „walcowaniem“ i przyprawionej mocno „kropkami“ wróciliśmy na nasze legowisko zimowe bardzo zmęczeni a jeszcze bardziej głodni. Nie też dziwnego, że drzwi do kuchni prawie się nie zamykały. Co chwilę ktoś tam wpadał z okrzykiem: jeść — jeść!... Biedna kucharka, która ćwierć swego wieku przeżyła u proboszcza, skarżyła się mówiąc, że takiej „dokuczliwej gawiedzi“ nawet na farze nie miała. Istotnie była to dożarta gawiedź!... Widząc, że z garnków się dymi, zabrali wszyscy talerze, łyżki, widelce, noże i jazda do izby, która służyła zarazem za jadalnię, sypialnię, przechowalnię bagażu i świetlicę. Tutaj na stole, którego pochodzenie i wiek określaliśmy zapomocą noży i widelców, a wieczorem konserwowaliśmy smarami różnego rodzaju, rozstawili zrabowane naczynie i dalej wyprawiać „koncert menażkowy“. Najpierw, jak zwykle, odezwały się niby wysokie dziewczęce soprany, swym metalicznym głosom menażki; po nich płytkie talerze zajęły alty, zaś głębokie, tenory. Zabrakło jeszcze basów, lecz te się wnet znalazły, bo oto ktoś za-

czyna wściekle walić po rurze od kopającego piecyka, jakby w ten sposób chciał wypłoszyć gniezdzące się w kominie kawki. Cały zespół dostraja się pod wrażliwym uchem starosty „Patyka“.

— Cicho, stop! — krzyczy tenże, kiedy każdy w natchnieniu muzycznym wali co sił w talerze.

— Cicho! — Lecz nikt nie zważa na niego, wszyscy tłuką się dalej.

— Psiakrew! — będzie spokój hołoto! — rozdarł się na cały gaz. Urwali jakby na komendę, tylko w powietrzu igrały jeszcze dźwięki „niedołożonej symfonji“; odbiły się od marsowego czoła starosty i nastąpiła cisza. Trwała zaledwie kilka sekund, bo oto ukazała się w drzwiach praktykantka kucharki, Zosia, niosąc na dużym półmisku pachnącą pieczeń. Rozpoczął się atak. Nadaremno starosta starał się nas poskromić, bijąc starym kierpcem po rozpalonych czuprynach; pchali się wszyscy jeden przez drugiego, wydając przytem dzikie okrzyki...

— Moje okulary! — wołał z przestachem „Redaktor“ porwany w wir walki, bojąc się, aby ktoś nie zabrał przypadkiem na widelec jego bi-

nokli, kąpiących się w sosie. Wkrótce atak mięsny został przerwany, a na półmisku zostały niedobitki porcyj. Ofiarą dalszej ofensywy padła zupa. I tak z kolei każde danie przechodziło swoją batalję.

Po obiedzie nastąpiła ogólna zgoda. Część położyła się na łózkach, błędząc myślami powyżej kościoła, gdzie mieszkały piękne harcerki z Krakowa a zaś reszta pisała listy do przyjaciół lub przyjaciółek i rodziny. Naraz wpada do izby Patyk. Ledwo przewłókł swą longinusowską postać przez niskie drzwi, rozdarł się na cały głos:

— Wiecie co chłopcy, dzisiaj zabawa! —

— Co? — Zabawa? — Kiedy? — Wszyscy zrywali się na równe nogi, nie wyłączając nawet p. instruktora, który dotychczas przysłuchiwał się z niemą ironją naszym wicom. Posypały się zewsząd pytania.

— Tak, zabawa — wszystko załatwione! — uspakajał starosta. Nikt jednak nie zważał na jego dalsze wywody, nawet ja doszedłem do wniosku, że ten Patyk to rzeczywiście ma czasem dobrze w głowie, ale... Grunt, że jest zabawa. Przynoszą podwieczorek. Prawie nikt nie zwraca na to uwagi, każdy trenuje foxtrota, tango, a najwięksi modnie nawet carioce. Wszystko w najlepszych humorach poprawia kolorowe pulowery znakomitej firmy „Trójkąt w kole“, nawet sam instruktor przybrał niebieski sweterek niewiadomej narazie firmy.

Odświeżeni jak przystało ruszamy gromadnie na zabawę... nie zapominając oczywiście o naszych instrumentach, wśród których pierwsze miejsce zajmowały skrzypce i mandolina.

Witowska chata.

W. Lenczewski

W polskim budownictwie ludowym chata góralska przez swój odrębny charakter na specjalną zasługuje uwagę. Podczas dorywczych wędrówek po Witowie różne spotykaliśmy chaty; dzisiaj bowiem obok budowanej z nieciosanych okrągłaków, dymnej staruszki, spotyka się w Witowie gospodarstwa, liczące po osmdziesiąt lat, a przy nich dopie-

Jednym z najstarszych, jak mam wrażenie, rodzajów zabudowań gospodarskich, to chata dwu-izbowa, stojąca oddzielnie, frontem zwrócona na południe; przy niej po lewej stronie w odległości paru kroków znajduje się tej samej mniej więcej wielkości co chata, budynek, zwrócony frontem do bocznej ściany chaty, w którym znajduje się



Pazdur

ro co powstałe, na jeden sposób budowane wille dla przyjezdnych gości, ogolone tak na zewnątrz jak wewnątrz z tego, co stanowi o uroku i odrębności, chylących się ku ziemi, pokrzywionych od starości chałup góralskich.

Typowe chaty witowskie mimo różnicy wieku zasadniczo niczem między sobą się nie różnią. Różnice, i to nieraz bardzo ciekawe, spotyka się w drobnych tylko szczegółach, jak w wykonaniu powały, sosrębu, pieca, drzwi; wszystko bowiem uświęcone jest tradycją.

Opierając się jedynie na różnicach, zachodzących w rozmieszczeniu poszczególnych zabudowań, możemy podzielić chaty witowskie na kilka typów.

naraz i stodoła i stajnia i drewnutnia, czasem także wozownia lub chlewy. Drugi typ podobny jest do pierwszego, lecz chata wraz z budynkiem gospodarskim, połączona pewnego rodzaju okapem, pod którym znajduje się wozownia, tworzy niejako jeden budynek. Trzeci wreszcie rodzaj, podobny do drugiego, odznacza się jednoizbowa chatą, do której wejście znajduje się pod okapem dawnej wozowni, zmniejszonej i zamienionej w razie bezużyteczności na drewnutnię. Poznaawszy mniej więcej ogólny plan zabudowań, zapoznajmy się teraz z właściwą chatą. Jak wspomniałem, same chaty witowskie między sobą nie wiele się różnią; budowane są wszystkie średnio z ośmiu, dziewięciu

jednostronnie ociosanych bali, zwróconych stroną nieciosaną nazewnątrz. Szczeliny między belkami bywają albo omszone albo utkane słomą, skręcaną w długie powrósla. Na tem wznosi się stromy, często łamany dach zakopiański, pokryty gontami, a zakończony pazdurem. W pośrodku ściany szczytowej znajdują się szerokie, okrągłe górną drzwiami, czasem posiadające ciekawe wiązanie belek bocznych z belką górną i charakterystyczne kołkowanie. Wchodzimy do wewnątrz. Zrazu dostajemy się do wielkiej, długiej nacała szerokość chaty sieni, w połowie czasem przedzielonej. Na lewo i na prawo mamy zwykle, niskie z desek zbite drzwi. Zmarznięci wiemy, że najprędzej ogrzejemy się, wchodząc na lewo do kuchni, zwanej dawniej, gdy budowano kurne chaty, izbą czarną; na prawo bowiem znajduje się izba biała — świetlica, bez pieca, zimna, opuszczona w tej porze przez wszystkich. W kuchni zastajemy kilka osób; pod oknem na ławie siedzi starzec, który nogą obraca warculę — kołowrotek i grubemi palcami przedzie z pałką takąż nie; bosa gospodyni kręci się z warzechą koło blachy, a wysoki barczyty, z czarnym wąsem, o podłużnej twarzy, gazda uśmiecha się do nas przyjaźnie. Rozgadaliśmy się. Gazda pilnie wodzi za naszymi ciekawymi spojrzeniami i stara się nam wszystko jak dzieciom tłómaczyć! Izba nie zaciasna i nie za duża; ściany równe z ociosnych i omszonych belek, niczem ponadto nie obite, z pewnością nie utrzymują ciepła wewnątrz. Nad głową mamy szeroką, ciosaną belkę, biegnącą wzdłuż izby, ozdobioną góralskimi motywami, z rokiem założenia i nazwiskiem „fundatora“ chaty — t. zw. „sosrąb“, dźwigający poprzeczne mniejsze belki t. zw. tragarczyki, na któ-

rych dopiero ułożona jest powała z szerokich, długich desek, albo czasem pociętych na kawałki i układanych na tragarczykach w rodzaju parketu. Przez całą długość bocznej ściany jest zawieszona rzadko już dzisiaj spotykana listwa; jest to półeczka z ozdobną balustradą, za którą umieszcza się albo talerze albo obrazy świętych; pod półeczką w szerokiej listwie rozmieszczone są kolki, na których dawniej wieszano gliniane dzbanki. Rozmieszczenie sprzętów także uświęcone jest tradycją. Gdy staniemy w drzwiach, zaraz na lewo mamy półkę góralską z talerzami i misami, na prawo piec, dalej pod oknem długą ławę, czasem przybitą do ściany, w głębi w lewym kącie stoi stół na krzyżach i para stołków, jakie dziś łatwiej znaleźć w muzeum; pod przeciwległą ścianą spoczywa na kółkach lub innej podstawie stara, pokryta zatartymi malowidłami skrzynia; w kącie na prawo stoi łóżko, nad niem na drążku zawieszona pościel; ze sosrębu zaś zwisa kołyska. Najciekawszy wydaje się nam piec, służący równocześnie do wszystkich możliwych celów, który swoją doskonałością niewiarogodną czyni wiadomość, że w tej samej izbie piędziesiąt lat temu palono ogień na nalepie, a dym wypuszczano otworem w powale. Przechodzimy następnie do świetlicy, gdzie gospodyni z dumą pokazuje nam ubiory mężczyzn i kobiet, spodnie, kaftaniki, cuhy... Urządzenie składa się ze skrzyń, ławek, przybitych wokoło do ścian, stołu, stołków, półki na talerze i listwy. Ze świetlicy przechodzi się niskimi drzwiczkami do komory, gdzie znaleźć można niekiedy małe muzeum etnograficzne, tylko utrzymane w „niemuzealnym“ stanie. Tak wygląda dzisiaj stara chata w Witowie!



Janosikowe skarby.

W. Lenczewski

nijak nie kciół Janosikowi skarbow dać. Wtedy Janosik mu powiada:

— Chto jes ten pon od tego?... cy ty, cy jo?!

Stróż sie zląk i tak pado Janosikowi:

— Tyś jes pon... nie jo!...

— ... Bo jakbyś pedzioł, ze ty, tobyk cie zabił! — powiada mu Janosik i kozoł mu tak stoć przy dźwiak, a nie rusać się, pokił mu znowu nie pozwoli. Tak to Janosik zabroł te skarby z Wawelu i schowoł je na Osobitej na ceskij stronie, ale pono mo jesce przyjs cas, ze te skarby znowu sie

wrócom do Polski. Pokił zył Janosik, pilnowoł se tyk skarbow, ale kiedy go jus powiesili w Liptowie, bronilo ik jakiesi zle, bo ludziska nijak nie mogli ik naliż, a co kiery sukoł skarbow na Osobitej, wiencyj z tamtad nie wraoł... Haj!

Roz ino widzioł je jeden wolorz, co nie prec Osobitej cetyne zbiroł; przysel do niego wiecór jakisi stary dziadek bednarski, co to safliki robi i prosil go, coby sie móg przespać kole watry. Wolorz nie wiele myślęcy, bo ani odmówić sie mu nie godziło, pozwolił dziadkowi położyć sie koło watry...

Wcas rano šturko ten bednarski dziadek wolorza i pado:

— Pojdz za mną!

— Kanyz?

— Nie pytoj... obacys!... Ino musimy sie spiesyc, pokił słońce jesce za wirchami! — I przyšli tak ku Osobitej, hań z drugi strony, kiej właśnie słońce nad wirchami świcić zacęło; tak wtedy użroł wolorz w ty górze brame złotom, a nad nią wisiol złoty kluc... Haj!

— Weż ten kluc i otwóz! — pado stary wolorzowi.

— Boja sie!...

— Nie pytoj... otwóz, kiej ci mówie!...

Wolorz nie wiele myślący otworo brame, a kiej jom jus otwar, użroł jaskinie, pełnom srebła, złota i djamantów, kiere blyscala sie od słońca, az hej!.... Nazdoł sie wolorz, ze to musom beć Janosikowe skarby i zląk sie, coby go jakie złe nie ulapiło, jako wiela innyk, co tyk skarbów hań sukali. Kiej jus weśli do ty jaskini, tak mu pedziol dziadek:

— Pozwolileś mi zogrzać sie od watry, teroz ci za to zaplacam... Bier, co kces z kazdy kupy!...

A bely tam tyz čtyry ciupazki zbójcekie, na jedny kupie, zbyrcące kółeckami. Kce brać jednom wolorz, a tu bednarski dziadek na niego:

— Ostaw to! —

— Camu? —

— Ostaw to! —

— Jo nie bierem ani srebła, ani złota, ani djamantów, jeno kce te ciupazke!... —

— Kiebyś nopirwej wzion trocha złota i srebła, ciupazki belyby twoje, ale bez tego nie wolno ci juz brać ani ciupazek ani złota. Trza sie mie beło spytać, co nopirwej brać... haj! — pado wolorzowi stary, a potem wyprowadził go z jaskini, zamknął brame i tak razem idący zapodziol sie kanyś nagle, ze wolorz ani sie nazdoł kany; skarbów zaś tyk nigdy jus ani on ani nik nie widziol. Ale kieby siedmiu ludzi zesło sie tak pod Osobitą przed wschodem słońca, coby nie byli zmówieni, znowu otwarłaby się brama do Janosikowyk skarbów... Haj!

Przyśpiewy góralskie.

(Według Ludwika Bocunia z Chochołowa.)

Zabrzęczały eicho gęśliki; w niecierpliwem oczekiwaniu wsłuchujemy się w niskie, czasem piskliwe, niepewne tony; nagle bacia podniósł głowę, uśmiechnął się bezzębnymi ustami, a w niebieskich wyblakłych oczach zamigotały ognie dziwne, zatrzęsły się bujne bokobrody; wreszcie zsunął brwi i począł śpiewać:

„Hej, te nase góry!
Hej, te nase lasy!
Kany sie podziały
Starodawne casy?...“

Po każdej strofie spozierał na nas swemi jasnemi oczami i zadowolony z efektu, jaki sprawiała jego góralska, szczerza i nader prosta pieśń, spuszczał z rozmachem smyczek na struny i z małych niepokąźnych gęśliczków wydobywał jękliwą melodję...

Tak śpiewał o Janosiku:

Hej, duby, duby, zielone duby,¹⁾
Zielona dubina;
Pije Janosik, za cudzy grosik
Między dwanaścina!...“

„Janosik, zbójniku,
Zbójceki hetmanie,
Zabroleś piniądze,
Nie robileś na nie...“

„Hej, Janosik, Janosik,
Gdzieś podziol pałasik?...
Hej, na Liptowskiej horze
Zacięty w jaworze!...“

„Kieby jo był wiedziol,
Ze jo budem wisioł
Dobym se wyzłocić
Subienicke dzisioj!...“

Powiesili Janosika, ale zostali jego towarzysze, o których tak śpiewał nam bacia:

„Hej, wirchem chłopcy, wirchem,
Drobnym jowornickiem,
Budemy se dzielić
Dukaty kłobuckiem!...“²⁾

„Od potoka idzie zbójnik
I pyto sie, kany chodnik.
Ki do djabła, co za zbójnik,
Kiery nie wiy, ka jes chodnik!...“

—:—

Potem zniżył głos i zaśpiewał ze smutkiem:

„Jak jo umre w cudzym kraju,
Chto mi budzie kopać jamu?...³⁾
Wykopiom mi kruki, wrony,
Tak se bude pogrzebiony!...“



Zbig. Zitzman I c

Lecz widocznie wrócił mu się niebawem „przedwojenny czas“ bo oto zaczął na inną nutę:

„W murowanej piwnicy
Tańcowali zbójnicy,
Kazali se piknie grać
I na nózki spozirać!...“

—:—

„Dopad zbójnik zbójnice,
Patargol ji spódnice,
A zbójnica za nim, za nim,
Potargała portki na nim!...“

A potem jeszcze weselej:

„Poronin, Poronin,
Niesczęsna dziedzina!
Jo bym go nie chwolił,
Kieby nie dziewczyna!...“

—:—

„Za dużym potokiem
Baba chłopą bije,
Ni może rady dać,
Złomala dwa kije!...“

—:—

„Ojciec krzyczy, matka krzyczy,
Ześmy mało zorali;
Kaśka przysła, jak przycisła,
Az my pluzek urwali!...“

—:—

„Haj, stary jo jes, stary,
Nie kcom mie dziewczęta,
Wezme se powozik,
Pójdą na cielęta!...“

Wkońcu przypomniał nam, że jeszcze jest zima:

„Idzie zima nad zime,
Trzeba rubać⁴⁾ kosine,⁵⁾
Trzeba rubać jedlicki,
Coby jadły kozicki!...“

I tak zakończył swoje śpiewy:

„Dobrze na wojence,
Chto se Boga prosi,
Wojocy strzylajom,
Pan Bóg kule nosi!...“

—:—

„Osiodłom konika,
Podreće wąsilka,
Dobęde pałasa:
Wiwat Polska nasa!...“

Nikogo nie zadziwiła ta ostatnia pieśń w ustach bacy, bo oto, jak dowiedzieliśmy się przedtem, mieliśmy przed sobą człowieka, który walczył w Legjonach, a zdobyte medale do dzisiaj nosi codziennie przyszyte na brzegu „cuhy“.

Objaśnienia: ¹⁾ duby — dęby, ²⁾ kłobucek — kapelusz góralski, ³⁾ jama — grób, ⁴⁾ rubać — rąbać, ⁵⁾ kosina — kosodrzewina.

Tatry w zachodzącem słońcu.

*Płomienią się blaskiem Tatry na jasnym tle błękitów,
Ze śnieżnych mgieł omotań śnieżyste w niebo sterczą,
Rozprysła się lawa słońca po graniach złotą tęczę
I w ponure przepaście żlebami sływa ze szczytów...*

*Niebo się łuną czerwieni, jakby za gór krawędzią
Cały świat się pożarem trawił piekielnych odmętów,
Chmury się nawet zajęły ogniem od szybkiego pędu
Półzłociste, półbiałe w wichrem nad turniami pędzą...*

*Jakby ziemi korona, koroną złotą wieńczone,
Sterczą skały te martwe, a tak blaskiem żywe;
Słońce już zaszło w dolinach, cieniem okryły się one.*

*Zmierch się snuje mgłą szarą, płynie po pod Tatry siwe
I coraz się rozjaśnia krąg bladawego miesiąca
Po turniach jeszcze tylko błyszczący krwawą światłość słońca.*

Jeden dzień w Witowie.

K. E.

(Urywek z pamiętnika)

Witów, 9/I...

„... Dzisiaj właśnie rozpoczyna się drugi tydzień naszego pobytu w Witowie. Czas tak szybko upływa; taka ogromna ilość wrażeń, tłoczy się pod pióro, że ledwo mogę się zdecydować, które odrzucić, a które utrwalić. Zaczniemy jednak pokolei... Wstaliśmy dzisiaj jak zwykle o godzinie ósmej, chociaż apel ranny według regulaminu wyznaczony był na siódmą. Godzinę całą trwało razem ubieranie, sprzątanie izby, śniadanie, smarowanie i „smarownie“ nart wreszcie szukanie swoich kijków, a nie rzadko desek, do których przyznawało się naraz aż kilku właścicieli. O godzinie dziewiątej każdy już przypinał narty, wszystko jedno czyje, aby wyruszyć razem na codzienną wycieczkę, na jakie w tym tygodniu coraz częściej się puszczamy, mając za sobą kilkudniowy trening. W domu zostaje tylko niewielu maruderów, między nimi także nasz rysownik „Zicek“ i „Redaktor“, którzy wybierają się, już licho wie poraz który, na włośćkę po starych chałupach, aby w ten sposób uzupełnić teoretyczne wiadomości z wieczorów świetlicowych no i nam potem coś nie coś uronić z swojej wiedzy. W wesołych humorach ruszamy dzisiaj na okrężną jazdę po wzgórzach witowskich, które mimo pozornej niskości, są czasem tak wysokie, jak Klimeczok. Dobre pół godziny drapiemy się ku granicy czeskiej, skąd roztacza się wspaniałe widok na całe Tatry, przedewszystkiem zaś na ich część zachodnią: Starą Robotę, Kominy, Ozerwone Wierchy i Giewont. Nie zapominamy oczywiście i o Babiej Górze ani Gorcach, które za nami przyczaiły się na widnokręgu. Podchodzimy na następne wzgórze, skąd rozpoczyna się wspaniałe zjazd lasem, aż do wylotu doliny Kościeliskiej. Brak czasu nie pozwala nam na zapuszczanie się dalej, lecz obiecujemy sobie powetować to w najbliższych dniach. Projektowana bowiem jest wycieczka do doliny Chochołowskiej i Zakopanego... Po krótkim odpoczynku rozpoczynamy powrót do Witowa. Pędzimy jak zwarjowani po gładkiej, miejscami, jak stół równej szosie, aby zdążyć jeszcze na obiad. Okazało się, że wróciliśmy aż nadto wcześniej; nikt też nie myśli odpinać jeszcze nart, a raczej każdy rozpoczyna codzienny trening po

„dziurach“ koło kościoła, nie tak z samej potrzeby, jak dlatego, aby popisać się swoją wyższością nad trenującymi tuż harcerkami z Krakowa, które nie mają czasem pojęcia o najprostszych zasadach jazdy. Znudzeni bezowocnymi próbami zaimponowania krakowiankom, wracamy do domu, opanowani iście wilczym głodem. W chacie zastajemy jak zwykle „Zicka“ i „Redaktora“, którzy dla odmiany toczą dzisiaj dyskusję o muzykalności niemuzykalnych górali, zwykle bowiem, albo „wciągle“ coś piszą i rysują albo najzwyczajniej nie robią nic... Podczas obiadu dowiadujemy się, że dzisiaj po południu zamiast codziennych zajęć świetlicowych, podczas których zapoznawaliśmy się z etnografią polską, szczególnie Podhala, pójdziemy wszyscy oglądać stare chałupy, do których zaprowadzi nas nasz gospodarz, zastępca wójta witowskiego, a wyjaśniać będą wszystko właśnie „Zicek“ i „Redaktor“. Wieczorem zaś zaproszono nas na przedstawienie urządzone przez miejscowych górali w szkole. Podobno ma tam być jakiś referat o powstaniu w Chochołowie w roku 1846, następnie sztuka góralska osnuta na tem tle, a na zakończenie jak zwykle tańce i śpiewy ludowe. Jednym słowem czas urozmaicony doskonale. Wieczór czekają nas nowe niespodzianki. Bo oto dowiadujemy się podczas apelu, że nazajutrz jedziemy rano skiringem do doliny Chochołowskiej, a wieczorem, po zajęciach świetlicowych „możemy“ urządzić w porozumieniu z harcerkami tańcówkę. „Możemy“ to wielki wyraz, chociaż w każdym ustach ma inne znaczenie. Tutaj właściwie znaczył: „Jak chcecie, mnie to nic nie obchodzi“ natomiast w ustach p. Dyrektora, szkoda, że już go nie było między nami, znaczyłby: „Nie tylko możecie, ale musicie!“... Dość na tem, że coś będzie! Hurra!... A teraz modlitwa:

— ...Wszystkie nasze dzienne sprawy... —

Kładziemy się do snu, lecz ten długo nie przychodzi, widocznie spłoszony dowcipami, które „cenzura pod ścianą“ t. zn. p. instruktor, którego staraliśmy się napróżno „nabrać“ na porządniejszy kawał, puszcza mimo uszów.

W piecyku pali się ogień; mróz zabielił szyby. Bądź co bądź jest „byczo!“ Na takiej kolonji nie prędko będziemy drugi raz!...

Z ramienia komitetu red.
man Jerzy VII a, Damek

Władysław VII b, Zitz-
or odpowiedzialny

Nakładem: Samorządu Pa

a Kuśnierza, Biała